Świat powieściowy.

Pismo tygodniowe belletrystyczne.

Wychodzi we Lwowie w każdą niedzielę.
Administracja: ulica Grodzickich l. 4.
w drukarni narodowej W. Manieckiego.

Nr. 25.

dnia 22. Maja 1881.

Prenumerata wynosi wraz z przesyłką pocztową:
kwartalnie . . . 2 zł.
półrocznie . . . 4 zł.
rocznie . . . . 8 zł.

ZDRAJCA.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA W DWÓCH TOMACH

przez Autora „*Marzycieli*“

TOM II.

(Ciąg dalszy).

ROZDZIAŁ II.

DWA SPOTKANIA.

Ryszard do domu wracając, ułożył sobie cały plan dalszego postępowania. Widząc się przez wszystkich opuszczonym, nie zawahał się ani na chwilę; przeciwnie, im więcej spotykał przeciwieństw, tem bardziej w nim wzrastała siła zaczepna. Sam sobie się dziwił, z kąd się w nim wzięła ta namiętność do walk politycznych, które najczęściej zamiast róż, ciernie i głogi przynoszą. Niegdyś zdawało mu się, że będzie profesorem lub lekarzem; dziś zaczynał przewidywać, że zostanie człowiekiem politycznym. Piękne to zadanie — w duszy sobie powtarzał, — ratować ludzi od śmierci fizycznej, stokroć jednak piękniejsze ratować ich od moralnej! Czy jest co szczytniejszego od walki z błędami, które ogół jako prawdy uznaje, a dla ojczyzny czy ten dobrze nie pracuje, kto jej synów na prawą drogę wprowadza?

Wróciwszy do domu i ojca nie zastawszy, który wyjechał w sąsiedztwo na polowanie, pospieszył do starosty. Jeźli na kogo, to na tego mógł liczyć jak na Zawiszę. Pan Zygmunt Grabowski podzielał większą połowę przekonań swego kuzyna i tak samo jak on, był przeciwny kandydaturze Sterna, a lubo jawnie przeciw niej nie występował, co mógł uczynił w ukryciu, żeby jej upadek zapewnić. Jako urzędnik, musiał oglądać się na Wiedeń, gdzie w epoce naszego opowiadania rządziło stronnictwo niemieckie, zwane centralistycznem, które dla Żydów, jako swoich zwolenników, gotowe było wszystko uczynić. Nasz starosta nie mógł być zatem jawnym Sterna przeciwnikiem, i wiele już czynił, że ukradkiem, zwłaszcza w rozmowach z lepszymi znajomymi, źle się wyrażał o jego kandydaturze.

Gdy mu Ryszard szczegółowo opowiedział swoje odwidziny w redakcji *Teraźniejszości*, bardzo się zachmurzył i uderzając się dłonią po kolanie zawołał:

— Otóż masz! I dziwić się potem, że cały naród głupi, skoro jego koryfeusze także nie wiele więcej mają rozumu. Źle mój Rysiu, źle z narodem!

— Ja jednak o nim jeszcze nie wątpię... Trzeba go oświecać i pracować dla niego.

— Wszystko to pięknie, mój kochany, lecz zanim słońce zejdzie, rosa oczy wyje. Na przykład: co bez poparcia w tym wypadku zrobisz? Ty będziesz jeździł, agitował, przekonywał, a Stern jednych weźmie na lep obietnic, drugim sypnie pieniądzmi, i naród pójdzie do urny jak stado baranów.

— A więc i ja będę tak samo postępował! — Ryszard zawołał.

— Jakto?

— Będę sypał pieniądzmi.

Starosta wypatrzył się na mówiącego.

— Może i dobry sposób Rysiu, lecz z drugiej strony, rozważ, czy ci wystarczy tych pieniędzy? Przecie nazs naród wielki, a głupstwa jego także wielkie, więc nie mało trzeba pieniędzy, żeby

wszystko naprawić, co on popsuje. Zdaje mi się, że tu bynawet miljony nie wystarczyły.

— Co później będę robił — Ryszard odrzekł — tego jeszcze nie wiem, ale na teraźniejsze wybory myślę ofiarować nieco gotówki. Agitacja pieniądzmi poparta, musi mi zwycięztwo zapewnić.

— Zuch z ciebie mój Rysiu! Gdyby tak każdy myślał, naród inaczej by wyglądał. Żebyś jednak nie sądził, że umiem tylko chwalić, na skuteczną agitację masz i odemnie 500 guldenów, któremi zarządzisz jak uznasz za stosowne.

To mówiąc wręczył kuzynowi pieniądze, który je chętnie przyjął.

— Jeszcze jedno Rysiu. Dziś wieczór będzie u mnie na herbacie burmistrz tutejszy, głowa nie tęga, ale człowiek dobrze myślący, w razie potrzeby możesz go użyć... Trzeba zatem żebyś został i u mnie go poznał. Ręczę, że nie pożałujesz!

— Z największą przyjemnością.

W tejże chwili wszedł woźny z papierami, które z poczty przyniósł. Starosta przejrzawszy prędko „kawałki“ urzędowe — na szczęście było ich niewiele — rozwinął najświeższy numer *Teraźniejszości* i stanąwszy przy oknie, obok Ryszarda, zaczął go przeglądać.

Na pierwszej zaraz stronicy, tuż po artykule wstępnym, pod napisem „Wybory na prowincji“, był długi artykuł o kandydaturze Sterna. Nasi przyjaciele czytali go, oddech w piersiach tamując. Pan Walery wystąpiwszy w obronie nocnego towarzysza, nie pominął ani jednego z tych frazesów, o których wiedział, że między czytelnikami robią wrażenie, i w formie ile możności kwiecistej, osławił obywatelskie cnoty właściciela Ludaczowa. Według tego, co ten artykuł zawierał, Jakób Stern był pierwszym żydem w Polsce, genjalnym finansistą, znakomitym agronomem, pierwszym racjonalnym przemysłowcem w Galicji, słowem doskonałością, która gdy raz do Sejmu wejdzie, popchnie kraj nowemi tory. Piszący wynurzył nadzieję, że szlachta wszelkich starań dołoży, żeby wyborcy włościańscy powierzyli mandat tak dzielnemu szermierzowi swobód konstytucyjnych. Na końcu artykułu znajdował się w klamrze dopisek tej osnowy:

„Chwili nie wątpimy, że pan Jakób Stern wyjdzie z urny wyborczej i tylko to niezmiernie nas zastanawia, że kiedy obywatele wszystkich stanów, wyznań i przekonań, podali tu sobie ręce, aby zgodnie poprzeć męża zasługi i prawego syna ojczyzny, znalazł się w obwodzie jakiś półgłówek niedowarzony, który folgując wrodzonemu warcholstwu, wyłamał się z pod solidarności narodowej i na własną rękę agituje przeciw Sternowi, co w rezultacie wyjdzie na korzyść jedynie stronnictwa antynarodowego. Spodziewamy się, że ten młodzieniaszek, któremu widocznie w głowie jeszcze zielono, cofnie się z drogi niebezpiecznej, gdyby jednak trwał w uporze, musielibyśmy chyba jego nazwisko w piśmie naszem ogłosić i ohydne postępowanie tak napiętnować, jak na to zasługuje. Kończymy ruskiem przysłowiem: *Sedy w chati, ne rypaj sia!*“

Pan Walery lubił niezmiernie ruskie przysłowia i temi często gęsto kończył swoje artykuły. Po tem też najłatwiej można było poznać, że i ten wypłynął z pod jego pióra.

Starosta przeczytawszy spojrzał na Ryszarda. Ten był lekko blady i jakby zmięszany.

— I cóż ty na to? — zapytał.

— Nic... kto chce walczyć, musi się na ataki przygotować.

— Nie powiesz jednak, by ci to przyjemność sprawiało.

— Że mi przyjemności nie sprawia, to więcej niż pewne, zwłaszcza, że cały artykuł napisany z taką zjadliwością, o jaką pana Wyżyńskiego nie byłbym nigdy posądził. Rozmawiał ze mną tak grzecznie, że miałem go za człowieka nader przyzwoitego.

— Taki to mój Rysiu ten naród dziennikarski! — starosta zawołał. — W oczy uprzejmy, a po za oczy tak cię oczerni, że suchej nitki na tobie nie zostawi. Dobrze się więc zastanów nad tem co czynisz... Możeby lepiej było cofnąć się zupełnie i nie narażać się na walkę nierówną.

— Czemu nierówną?

— Bo Stern, jak widzisz, pozyskał już sobie *Teraźniejszość*, jedyny w tej części kraju organ wpływowy, a ty jesteś sam jeden... Zastanów się więc mój Rysiu, zastanów!

— Myślałem już i o tem mój Zygmuncie, to też w razie potrzeby przeprowadzę i drugą połowę mego planu.

— Cóż więc uczynisz?

— Założę nowy dziennik.

— Ty?

— Tak jest, ja... Bo i powiedz mi Zygmuncie, czy godziwą jest rzeczą, żeby jedno takie pismo,

jak *Teraźniejszość*, trzęsło kilkoma miljonami i o wszystkiem stanowczy sąd wydawało? Wszak to wstyd dla nas!

— Masz rację mój drogi, i ja sam już nie raz to mówiłem... Wszakże z drugiej strony zechciej się zastanowić nad trudnościami, jakie spotkać możesz. Nie jeden przed tobą marzył o tej rzeczy, a jednak nikomu dotąd się nie powiodła, bo jakkolwiek sam Wyżyński nie jest tęgim dziennikarzem, ma zato wściekłego buldoga, który umie kąsać, szarpać i dusić.

— To zapewne Walery Żylewicz, o którym mi mówiono.

— Tak jest, człowiek bez czci i wiary.

— Mam nadzieję że go zwyciężę słusznością mojej sprawy.

— Może, może...

Przyjaciele umilkli; starosta zaczął chodzić po pokoju. Po niejakim czasie stanął i rzekł:

— Ha! kto wie czy tobie się nie uda... Jesteś przecie uczony, filozof! chociaż jeźli mam prawdę wyznać, smutny to u nas ten zawód dziennikarski. Ci ludzie nic nie robią, tylko kłócą się między sobą i nawzajem błotem obryzgują. Dla człowieka czystego niebezpiecznie dostać się między taki naród.

— Trzeba zatem przez stworzenie nowego organu — Ryszard wtrącił — stworzyć także innych dziennikarzy.

— Daj Boże, daj Boże! chociaż ja mój Rysiu w to nie wierzę. Mnie się zdaje, że dopóki nie wymrze całe to pokolenie nieuków i cyników, których mistrzem był Józef Dzierzkowski, stosunki u nas nie zmienią się na lepsze. Wielki miał talent ten Dzierzkowski, ale cóż, kiedy jego trzy czwarte utopił w alkoholu i próżniactwie. Dla tego jako szczery przyjaciel i krewny życzę ci mój Rysiu, żebyś wpierw dobrze się namyślił, nim wstąpisz na tę drogę niebezpieczną! Ty narodowi oddasz pracę i majątek, a w końcu, czego nie daj Boże, może i cześć swoją, a on cię za to wyszydzi!

— Pessymista jesteś mój drogi — Ryszard odpowiedział — lecz ja się temu nie dziwię; w Galicji trudno być innym, a ponieważ i mnie już nie jedno czarnem się wydaje, więc i dziennik założę dopiero w ostateczności.

— Proś Boga Rysiu, żeby do niej wcale nie przyszło.

Po tej rozmowie nasz przyjaciel wrócił do domu na objad, wieczorem zaś przyjechał znowu do starosty, by poznać burmistrza.

Pan Gozdawa polował wesoło trzy dni, a trzy wieczory spędził przy zielonym stoliku. Dzięki tym rozrywkom nie brał przez ten czas gazety do ręki, więc i nie wiedział, co *Teraźniejszość* o jego jedynaku napisała. Ryszarda szczerze to ucieszyło. Ojciec, przeczytawszy artykuł pana Walerego, byłby się zirytował i synowi nie skąpiłby wymówek, a tych nasz przyjaciel chciał uniknąć.

Stern, będąc pewnym zwycięztwa, jeździł po okolicy jak tryumfator i każdego zapytywał, czy czytał, co o nim „gazety piszą". Równocześnie jednak sprawy nie zasypiał i ajentom swoim, którymi byli okoliczni arendarze, wydojnicy i faktorowie, wydawał tajne instrukcje, równocześnie w pieniądze ich zaopatrując. Ryszard ze swej strony, aby sparaliżować jego zabiegi, działał przez księży, oficjalistów i szlachciców ludaczowskich, którzy dotąd nie zapomnieli, że Stern stał pod kaplicą z cygarem i w kapeluszu. Burmistrz miasta powiatowego gorliwie mu we wszystkiem pomagał, obiecując wytrwać do ostatka.

Stern, dowiedziawszy się, że Ryszard nie uląkł się pogróżki w gazecie, napisał do pana Walerego obszerny list niemiecki, poparty banknotem pięcioguldenowym, w którym go prosił o dotrzymanie przyrzeczenia i zaatakowanie jego przeciwnika po imieniu i nazwisku. Stern był pewny, że do czterech dni najpóźniej w *Teraźniejszości* pojawi się dosadny artykuł; tymczasem minął tydzień i dzień wyborów nadszedł, a o artykule ani słychu. Dopiero znacznie później, za bytności swojej w stolicy, dowiedział się z ust samego Żylewicza, co się z jego listem stało. Oto pan Walery, otrzymawszy go jakoś nad wieczorem, nie mógł tego samego dnia zrobić zeń użytku, a że sprawę chciał mieć na pamięci, więc schował go do bocznej kieszeni surduta. Pod „Dziką wroną" było owej nocy tak jakoś wesoło, że sam nie wiedział, kiedy się dzień zrobił i jakim cudem od dwóch tygodni pierwszy raz dopiero znalazł się rozebrany w swojem łóżku, z zimnym okładem na głowie. Gdy się ubierał, przekonał się, ze wszystkie papiery, które miał w surducie, bez śladu gdzieś zniknęły, a wraz z niemi i owa piątka, którą Stern przypominał mu swoją osobę. Nic dziwnego, że nie mając listu w ręku, nie pamiętał i o artykule, który miał być

napisany, na podstawie szczegółów w liście zawartych.

Nadszedł wreszcie dzień wyborów. Na rynku miasta powiatowego było tłumno jak na jarmarku. Chociaż prawyborców, których pojedyncze gminy wysłały, nie było nawet dwustu, rynek był przepełniony, każdy bowiem przywiózł tego dnia przynajmniej żonę i dzieci, a byli i tacy, którzy zjechali z krewniakami i kumami. Żydzi, wierni sprawie, której służyli, chłopów z oka nie spuszczali, i jak tylko który ruszył się z miejsca, miał zaraz przy sobie przynajmniej dwóch aniołów opiekuńczych.

Ryszard i księża co mogli zrobili; na jednych wpływali namową, na drugich nawet pieniądzmi. Po obliczeniu głosów przekonali się, że mają większość, zachodziła atoli obawa, że w ostatniej chwili żydowstwo więcej płacąc, wykupi ich kartki, na których było nazwisko pewnego księdza ruskiego i wyborcom podsunie swoje, z nazwiskiem Sterna. Ryszard mógł się wprawdzie udać do starosty i prosić go o wysłanie żandarmerji na rynek, która najprędzej mogła przeszkodzić głosów kupowaniu, lecz czy przy jednej sposobności nie było by i to na jaw wyszło, że on sam, ze swymi przyjaciółmi politycznymi także głosy kupował? Takiej kompromitacji należało tedy uniknąć i coś innego przedsięwziąć.

W chwili najbardziej krytycznej przyszedł mu w pomoc burmistrz miasta.

Na pół godziny przed rozpoczęciem głosowania, właśnie gdy żydzi do wyborców najgwałtowniejszy szturm przypuścili, wyjeżdżają z ratusza cztery parokonne sikawki i ustawiwszy się szybko, jak na komendę, w czterech rogach, poczynają bez miłosierdzia prażyć żydów i chłopów. Pierwsi z krzykiem *Aj waj!* rozskakują się na wszystkie strony, wieśniacy zaś cofają się w porządku ku starostwu, dokąd ich księża prowadzą. Tym sposobem została sprawa ocalona, zaraz bowiem rozpoczęło się głosowanie.

Około południa ogłoszono wynik wyborów. Stern upadł, z urny wyszedł ksiądz Michał, otrzymawszy na 187 głosujących 125 głosów.

Możemy sobie wyobrazić wściekłość Sterna, gdy się o tem dowiedział; a dowiedział się bardzo prędko, przez czas bowiem głosowania siedział w domu rabina, zkąd ostatnie rozkazy wydawał. Gdy mu tę wieść hiobową Moszko zwiastował, wpadł w taki gniew, że jak liść trząsł się na całem ciele i chwyciwszy się za włosy, kilka ich nawet wyrwał. Być po raz drugi tak blizkim celu i tak haniebnie przegrać kampanję, to okropne! I kto z nim walczył, jakiś młodzik bez znaczenia, który nie miał tyle nawet majątku, ile on mógł jednego dnia wydać!... W pierwszej chwili chciał wpaść do starosty i w imieniu swoich zwolenników wnieść protest przeciw wyborom; gdy jednak ten i ów go upewnił. że wszystko odbyło się w największym porządku i nieformalności nikt się nie dopuścił, postanowił ukryć znowu gniew na dnie swego serca... Już to on umiał zawsze nad sobą panować i porywczością nigdy sobie nie szkodził.

O ile Stern był rozgniewany i zmartwiony, o tyle znowu Ryszard cieszył się tryumfem dobrej sprawy. Mało go obchodziło, co i jak *Teraźniejszość* o nim napisze; jemu wystarczało zadowolenie, że spełnił swój obowiązek.

Stern nie wrócił tego dnia prosto do domu. Wpierw pojechał do Starejwsi, aby przed ojcem poskarżyć na syna.

Pan Gozdawa z przerażeniem słuchał opowiadania. Gdy Stern mówić przestał, zaczął go przepraszać, ściskać i mało brakowało, a byłby go nawet ucałował. Poczciwy szlachcic tak współczuł niedolę swego przyjaciela, że miał aż łzy w oczach.

— Że mnie szlachta nie wybrała — Stern wołał — przynajmniej tem to sobie tłumaczyłem, że szlachta polska jest jeszcze *feudal und klerikal*, ale czemu on nie chciał, żeby mnie chłopi wybrali? Więc lepiej że wybrali popa, *diesen gemeinen gałech*?

— Pewnie że źle się stało, bardzo źle, ale co ja tu sercuńciu poradzę. Ten Ryś tak mnie już martwi, żem gotów na końcu wyrzec się go mosterdzieju i zupełnie wydziedziczyć! Proszę! błagam, nic nie pomaga. Bóg wie, zkąd się w nim wziął taki upór sercuńciu. Chyba w matkę się wdał, we mnie z pewnością nie! A to mi narobił!

Stern długo się jeszcze gniewał, szamotał i pienił, lecz gdy z daleka zobaczył konie Ryszarda, który z miasta wracał, nie chcąc się z nim spotkać, krzyknął na swego woźnicę, żeby do domu jechał, sam zaś zbiegłszy na podwórze, udał się przez ogród do wsi, zkąd polnemi ścieżkami zamierzał pójść do Woli Ludaczowskiej.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ORDYNAT.

PRZEKŁAD Z NIEMIECKIEGO

przez Helenę Wilczyńską.

(Ciąg dalszy).

Edmund nie zauważył, jak wielkie rozdrażnienie wiało z tych słów. Znajdował całkiem naturalnem, że nie można było tęsknić za towarzystwem ponurego i małomownego Oswalda, skoro się miało jego, Edmunda! i to popisującego się ze wszystkiemi darami, któremi go hojnie matka natura obsypała, rozwijającego tak wielkie zasoby grzeczności i galanterji, że nawet i pan Rüstow, dał się niemi powoli ugłaskać. Wprawdzie zrywał się on, zżymał, broniąc się wszelkiemi siłami przeciw temu urokowi, starał się utrzymać na stopie wojennej, rzucał od czasu do czasu złośliwemi uwagami, aby rozmowę wprowadzić na tory nieprzyjacielskie i burzę wywołać, wszystkie jednak w tym kierunku usiłowania spełzły na niczem. Młody hrabia był nie wzruszony w swojem przedsięwzięciu, by złamać pierwsze lody i zwalczyć przesąd, który mu zamykał drzwi tego domu.

W słowach jego tryskał dowcip, umiał słuchaczy swoich porwać, ożywić i zainteresować. Dość, że mrukliwy niedźwiedź, *vulgo* pan domu, sam nie wiedział, kiedy został pokonany, spętany i zupełnie przez jednego z nienawistnych mu Ettersbergów, oczarowany. Zapomniał zupełnie kto u niego gości i stała się rzecz niesłychana! Gdy Edmund powstał, by wszystkich pożegnać, p. Rüstow najgrzeczniej aż na ganek go wyprowadził, i tam jeszcze gdy dziarsko wskoczył na pięknego czystej krwi araba, dłoń jego uścisnął.

Dopiero gdy wrócił nazad do salonu, przyszło mu opamiętanie, a z niem i gniew niepohamowany. Gdy jeszcze zobaczył Jadzię na balkonie, żegnającą chusteczką, znikającego na zakręcie drogi jeźdźca, który również ją salutował czapką żokiejską, grzmot się odezwał, i pioruny sypać się zaczęły.

— Nie! To przechodzi wszelkie ludzkie wyobrażenie! Tak mnie jeszcze nikt w życiu nie napadł z nienacka! Przyjeżdża sobie konno to grafiątko, jak gdyby nigdy nic, gra rolę milutkiego, słodziutkiego, zachwyconego mną i mojem gospodarstwem. Traktuje cały proces jako bagatelę, o której nie warto i wspominać; mówi najswobodniej o układach, stosunkach przyjacielskich i tym podobnych facecjach... a ja oszołomiony, jak głupi! słuchałem tych andronów, i języka w gębie zapomniałem! Oho! paniczu, do razu sztuka łapać starego wróbla na plewę! Jeżeli by doprawdy miał swoją wizytę powtórzyć, każę mu najgrzeczniej oświadczyć, że mnie... w domu nie ma!

— Tego tatku nie zrobisz — rzekła Jadzia, ojca za szyję pieszczotliwie obejmując. — Za nadto się tobie samemu podobał, abyś go mógł przyjąć tak niegrzecznie.

— Tak? Proszę! A i tobie także, co? — spytał ojciec mierząc ją groźnym wzrokiem. — Myślisz że ja nie wiem co tego wymuskanego paniczyka do Brunneck sprowadziło? Myślisz, żem nie liczył ile cię razy na pożegnanie w rękę pocałował, której — mówiąc nawiasem — wcaleś mu odbierać nie miała ochoty. Ale ja tego więcej nie ścierpię! Żeby mi to było po raz pierwszy i ostatni! Rozumiesz? Nie chcę mieć więcej do czynienia z tym przeklętym rodem Ettersbergów! Znam ja ich dostatecznie! Samolubstwo, pycha, upor bezmyślny, i bezdennna zarozumiałość, oto piętna i przymioty tego rodu! Jeden, jak drugi!

— Tak źle nie jest mój ojcze — przerwała Jadwiga energicznie — moja matka była Ettersberg z domu, a dotąd jej żałujesz, mówiąc zawsze jak szczęśliwem było wasze pożycie.

Uwaga była tak trafna, że radca umilkł na razie.

— Bah! — mruknął po chwili. — Ona była wyjątkiem.

— I hrabia Edmund jest wyjątkiem! — zadecydowała Jadwiga tonem jak zwykle stanowczym.

— Proszę! Tak ci się zdaje? Rozwijasz w twoich latach ośmnastu, niesłychaną i głęboką ludzi znajomość! — zawołał radca w najwyższem uniesieniu, i począł sypać córce burę sążnistą, w której z a s a d y główną rolę grały.

Panna Jadwiga słuchała spokojnie, lecz z jej minki naburmuszonej i obojętnej, łatwo można było poznać, jak mało troszczy się o ojca z a s a d y pod tym względem. Gdyby mógł był ojciec jej myśli w tej chwili przeniknąć, byłby znowu zastanowił się nad tą zagadką psychologiczną, że Jadwiga i tym razem postanowiła sobie, zrobić zupełnie co innego, niż to, co jej ojciec tak ostro nakazywał i polecał.

Marzec się skończył, przeszła i kwietnia połowa, śnieg stopniał, lecz wiosny dotąd nie było.

Marcowe chwile jeszcze nie minęły; powietrze było zmienne i zimne; ziemia nie zrzuciła szarego stroju żałobnego, by okryć się krasną szatą zieleni, różnobarwnym kwieciem przetykaną. Słońce choć kiedy na chwilę wyjrzało z za chmur ciężkich i ołowianych, to takie zimne, smutne i skwaszone, jak stary kawaler pedagrą na wskroś przesiąknięty, który już tylko stękać i gderać potrafi.

I stosunki między Ettersberg'em a Brunneck'em, wydawały się na oko równie nieprzyjazne, jak wiosna tegoroczna. Proces z obu stron popierano zawzięcie, matka wydawała rozporządzenia w imieniu syna, który

o całą sprawę ani nie spytał; ojciec zastępował córkę, która ma się rozumieć, nic a nic z tego nie pojmowała. Tak było od początku, tak szło i dalej.

Główni jednak przeciwnicy, których proces tyczył się właściwie, nie zachowywali się bynajmniej tak biernie, jakby się na pozór zdawało; a rodzice tychże, którzy z taką zapalczywością swoich zasad bronili, ani się spodziewali, jaką niespodziankę po za ich plecami, młoda para w cichości przygotowuje.

P. Rüstow, nie był dłuższy czas w domu. Wezwano go do stolicy, aby zasięgnąć jego rady, co do ważnego industrjalnego przedsięwzięcia, które miało wejść w życie niebawem. Sprawa jednak się przeciągała, i z tygodnia, który zamyślał, co najdłużej w mieście przepędzić, zrobił się cały miesiąc.

Gdy hrabia Ettersberg po ośmiu dniach powtórzył wizytę, już gospodarza nie zastał; tylko dwie panie, które starał się bawić jak najprzyjemniej. Po tej wizycie posypały się jak grad inne, coraz częstsze, a przytem, dziwnem losu zrządzeniem, gdziekolwiek się te panie z Brunneck ruszyły, wszędzie musiały spotkać Edmunda na swojej drodze. Rzecz naturalna, że się i obu stron zatrzymywano, witano, króciej lub dłużej rozmawiano, i sąsiedzkie stosunki, coraz serdeczniej się układały.

Radca rozumie się, nic o tem nie wiedział, gdyż córka była o tyle dyplomatką, że o hrabiu Edmundzie w listach ani wspominała. Tę samą taktykę zachowywał Edmund względem swojej matki. Kuzynowi wspomniał nawiasem i z pewnym tryumfem o pierwszej wizycie, wcale pomyślnie odbytej; gdy jednak Oswald jak zwykle nie oszczędził mu ostrych uwag, jak nietaktownem znajduje podobne napadanie domu, z którym prowadzi się proces tak drażliwej natury, odtąd i temu się z niczem nie zwierzał.

Pod koniec kwietnia, w poranek mglisty i deszczem grożący, a do tego zimny jakby to było w późnej jesieni, Edmund i Oswald szli przez las do Ettersberg należący. Państwo to miało bory nadzwyczaj rozległe. Była to jakby przednia straż, od pasma gór zasłaniająca i z nimi się stykająca. Panowie z trudnością w górę się drapali, nie w celu przechadzki, o ile się zdawało, gdyż ścieżka była stroma i mało uczęszczana, raczej aby coś zbadać, bo z uwagą w koło się rozglądali. Wreszcie Oswald tak przemówił:

— Przekonaj że się naocznie Edmundzie, co z twojemi lasami zrobiono. W ostatnich latach straszne tu było gospodarstwo! Prawie przez pół, i to co najlepszego drzewa wycięto. Nie pojmuję, że ci to dotąd w oczy nie wpadło. Co dzień przecie tędy konno przejeżdżasz.

— Bah! Czyż na to zwracałem uwagę? — odrzucił Edmund. — Ale te łysiny istotnie brzydko wyglądają. Rządca utrzymuje, że tylko za pomocą drzewa w większych partjach sprzedawanego, mógł opędzić w latach ostatnich koszta administracji i nasze wydatki.

— Może sobie gadać pan rządca co mu się podoba, a że jest w łaskach u twojej matki, więc mu wszystko uchodzi.

— Pomówię o tem z matką — mruknął Edmund. — Właściwie — dodał głośniej — lepiej, żebyś ty to zrobił. Umiesz daleko jaśniej podobne sprawy tłumaczyć, gdy tymczasem ja...

— Wiesz, że nigdy twojej matce rad nie udzielam — odrzekł Oswald ponuro. — Przyjęła by to z mojej strony najgorzej, jako niczem nie upoważnione mięszanie się w rzeczy, do mnie nie należące.

Edmund zamilkł na uwagę, której prawdy i trafności nie mógł odmówić. Po chwili zapytał:

— Czy posądzasz rządcę o oszukaństwo?

— Nie tyle może oszukuje, choć i za to nie mógłbym sumiennie zaręczyć, ile grzeszy niedołęstwem. Jak w lasach, tak samo w gospodarstwie rolnem. Każdy oficjalista idzie samopas, każdy rządzi na własną rękę. Nie umie nadać sobie powagi, nie umie jednem słowem: nakręcać tej maszyny dość skomplikowanej, która się gospodarstwem nazywa. Popatrz się na Brunneck. Tam wszystko idzie jak w zegarku, a dochody większe, niż z całego twego państwa. Jednak i twoim dobrom nie brakuje źródeł dochodu, byle ktoś niemi tak energicznie jak pan Rüstow swoim Brunneck pokierował. Dotąd przeszkadzały ci w tem nauki i podróże, dziś atoli jesteś tylko na to w Ettersberg, by wszystko ująć w silne dłonie. Inaczej, do kilku lat zniszczą ci majątek zupełnie.

— Coś ty już tutaj wyszperał w tych sześciu tygodniach! — Edmund potrząsł głową ze zdumieniem. — Jeżeli tak źle rzeczy stoją, będę musiał sam się wziąć do tego. Żebym tylko wiedział zkąd zacząć?

— Zacząć wypada ci od usunięcia oficjalistów, którzy okażą się jako nieudolni, i zastąpienia ich siłami odpowiedniejszemi. Boję się atoli, że w takim razie będziesz zmuszony zmienić cały personal.

— Przez miłosierdzie Boże! Toż by dopiero zrobił się chaos, a zawikłaniom i przykrościom nie byłoby końca. Nie cierpię zresztą widzieć się otoczonym samemi nowemi figurami, które nim by się zaaklimatyzowały i wcieliły w nowe obowiązki, wszystko by tymczasem na mojej głowie spoczywało.

— Za to też jesteś panem na Ettersbergu. Może potrafisz przynajmniej rozkazywać?

Edmund się roześmiał:

— Żebym to ja miał twoją namiętność i twój talent do komenderowania! Ty, do trzech tygodni wszystkich byłbyś z Ettersberg wyforował, a do trzech lat najdalej zrobił z niego cacko, jak Brunneck. Żebyś choć ty mnie nie opuszczał, żebym mógł liczyć na twoją pomoc! Ale chcesz już w jesieni opuścić mnie nieodwołalnie, a wtedy co ja pocznę z samymi obcymi ludźmi? Piękne widoki! Jeszcze nie jestem mianowany oficjalnie ordynatem, a już mi ten cały majorat stał się istną plagą egipską!

— Ha! skoro los rzucił ci te wielkości do kołyski — odparł Oswald sarkastycznie — trzeba żebyś

się nauczył dźwigać ich ciężar. Wielkości nie zawsze idą w parze ze spokojem i rozkoszami. Jeszcze ci raz powtarzam Edmundzie, czas najwyższy wziąć się z całą energją do twoich interesów, aby potem nie było za późno. Daj mi słowo, że uczynisz to natychmiast!

— Tak, tak, coś się zrobi w każdym razie — ziewnął Edmund ukradkiem, okropnie rozmową znudzony. — Skoro czas znajdę potemu... Teraz mam o wiele ważniejsze sprawy na głowie.

— Ważniejsze niż grożąca ci ruina?

— Może! Ale teraz muszę wracać. Czy i ty Oswaldzie idziesz prosto do domu?

Pytanie brzmiało dziwnie badawczo. Oswald tego jednak nie zauważył, cały wzburzony obojętnością i lekceważeniem kwestji żywotnych, które Edmund zbywał zawsze ni tem, ni owem.

— Naturalnie że wracam. Czyż ty ze mną nie idziesz?

— Nie. Wstąpię jeszcze do leśniczówki, do której mam już tak blisko. Leśniczy tresuje moją Djannę do polowania; muszę zobaczyć o ile w nauce postąpiła.

— Czyż to koniecznem dzisiaj? — spytał Oswald niechętnie. — Wiesz przecie, że przed objadem przyjeżdża adwokat, aby z twoją matką o procesie konferować. Obiecałeś stawić się punktualnie na godzinę umówioną.

— O! do tego czasu będę dawno w domu! Adieu! Oswaldzie. Tylkoż nie patrz na mnie tak strasznie. Przysięgam ci, że rozmówię się ostro z panem rządcą; jutro... no... a najdalej pojutrze. Stanie się to na pewno!... Spuść się na mnie!

Skręcił w bok i wkrótce znikł między drzewami.

Oswald potrząsł głową, i powiódł za odchodzącym wzrokiem ponurym.

— I jutro i pojutrze, i nigdy czasu nie znajdzie — syknął gniewnie przez zęby zaciśnięte. — Już mu znowu jakieś głupstwa w głowie, a wtedy, niech cały Ettersberg przepada! Czy on bodaj spyta się o niego? Ale co to mnie ma obchodzić? — uśmiech gorzki usta mu wykrzywił. — Jestem obcym na tutejszym gruncie, i takim pozostanę. Skoro Edmund o niczem wiedzieć nie chce, niech w przyszłości pokutuje za swoje lenistwo i niedołęstwo. Ja się pewnie więcej o państwo Ettersberg troszczyć nie będę.

Łatwiej to jednak było wypowiedzieć, niż zrobić. Wzrok jego wracał mimowoli do lasu bezczelnie zniszczonego, i nie mógł na ten widok pohamować oburzenia i gniewu. Zamiast wrócić do domu, jak to było pierwotnie jego zamiarem, szedł w las coraz głębiej i wszędzie to samo spustoszenie zastawał. Ledwie na najwyższych szczytach gór, gdzie przystęp był utrudniony, trochę więcej drzew zostało.

Idąc tak dalej i dalej, teraz z góry na dół, natrafił na drogę, rów głęboki i rogatkę. Był to już las do Brunneck należący. Jakże inaczej, niż jego sąsiad, oku zdumionemu się przedstawiał. Dąb w dęba, ani listka na ziemi, ani suchej gałązki, jak koło domu, jak w fabrykach, tak i w lesie, ład i porządek wzorowy.

Rozkoszując się tem co widział, dumał głęboko, ile to może sprawić dobrego jeden człowiek, gdy nie żałuje pracy i trudu; a jak znowu bezrząd i niedozór, taki, jaki w Ettersbergu, prędko zniszczy i podminuje choćby największy majątek. Radca przez lat kilkanaście, z biednego dzierżawcy został jednym z najbogatszych obywateli w powiecie; natomiast niedołężne spuszczanie się na oficjalistów przez hrabinę i jej brata, wysokiego urzędnika, który tylko w bardzo ważnych wypadkach siostrę odwidzał, a do gospodarstwa prawie się nie mięszał, najpiękniejszy niegdyś majątek zniszczyło nie do poznania.

Hrabina za życia męża przyzwyczajona do przepychu książęcego, nie chciała i po jego śmierci spuścić z tonu. Edukacja dwóch młodych Ettersbergów także nie mało kosztowała, a o źródła, zkąd by czerpać dochody nikt się nie pytał. Nie dziwić się zresztą, że rządca zewsząd o pieniądze nagabywany, brał je zkąd mógł. Co najwięcej bolało Oswalda, to przekonanie, że gdyby dziś jeszcze dłoń energiczna ujęła rządy w Ettersberg, wiele dałoby się naprawić. Czyż jednak tym człowiekiem może być kiedykolwiek, lekkoduszny i motylkowaty Edmund?

Przeszła co najmniej godzina i Oswald znużony, zamierzał powracać. Wybrał jednak drogę dalszą, lecz nie tak stromą. Drapać się nazad pod górę nie miał wcale ochoty. Na niego przecież nikt nie czeka — uśmiechnął się gorzko — a do obiadu dość czasu.

Idąc tak powoli zapadał w coraz głębszą zadumę. Brwi mu się groźnie ściągnęły, czoło w bruzdy poorało, rysy przybrały wyraz ponury a badawczy. Widocznem było, że nie o lesie teraz dumał, gdyż ani razu głowy nie podniósł od ziemi, w którą miał wzrok wlepiony. Myśl jego nad czemś pracowała, czego ani całkiem przeniknąć, ani też z tego koła zaczarowanego wyrwać się nie mógł. Twarz jego chwilami miała wyraz tak srogi i nieugięty, jakby z całym światem, walkę był gotów stoczyć, to znowu łagodniała, i pewna wątpliwość była widna w ruchach jego.

— Nie chcę więcej o tem myśleć! — szepnął czoło ręką pocierając. — Zawsze i wiecznie to nieszczęsne podejrzenie, którego pozbyć się nie mogę, choć dowodów na to nie mam i nie znajdę. A jednak zatruwa ono mi każdą godzinę w życiu, zabija we mnie każde uczucie lepsze, podnioślejsze... Precz z niem, precz!

Jakby chciał uciec przed trapiącemi go myślami, przyspieszył kroku; wyszedł z lasu, i znalazł się na pagórku po nad drogą wprost do Ettersberg prowadzącą.

Nagle stanął osłupiały, tak niezwykły widok wzrok jego uderzył.

Na pochyłości pagórka, od strony południowej, już cokolwiek świeżą murawą okrytego, siedziała młoda osoba. Kapelusz zdjęła z głowy, tak że twarz doskonale widać było, a kto raz spojrzał w te cudne, bły-

szczące oczy, nie mógł ich tak łatwo zapomnieć. Była to Jadwiga Rüstow, a obok niej w postawie nader poufałej, Edmund Ettersberg, który widocznie nie był wcale w leśniczówce. Oboje byli zajęci nader ożywioną rozmową, która jednak nie zdawała się być w treść bogatą, ani bardzo ważną. Było to znowu przekomarzanie się z jednej jak z drugiej strony, tak jak wtedy, gdy w śniegu brnęli, słowa latały jak rakiety błyszczące, śmiechom i żartom końca nie było. Ta ustroń jednak, tak od domu oddalona, to sam na sam i całe Edmunda zachowanie, zdradzało stosunki nader zbliżone i poufałe. Drocząc się ciągle z Jadzią, wyrwał jej z rąk kapelusz, na trawę wilgotną go rzucając, jednem ramieniem wpół ją opasał, drugą ręką obie jej dłonie uwięził, z których już przedtem figlując rękawiczki pościągał i okrywał te małe rączki namiętnemi pocałunkami.

Kilka chwil niewidzialny świadek, przypatrywał im się w milczeniu, wreszcie nawrócił, chcąc równie niepostrzeżenie zniknąć między drzewami. W tem sucha gałęź zatrzeszczała, łamiąc się pod stopami i oboje jednocześnie w jego stronę wzrok zwrócili.

— Oswald! — krzyknął Edmund, zrywając się na równe nogi.

Uznał, że teraz już nie czas się cofać; wyszedł więc z ukrycia i zbliżył się do młodej pary.

— A ty zkąd się tu wziąłeś? — spytał Edmund zmięszany i podrażniony.

— Z lasu — brzmiała odpowiedź lakoniczna.

— Miałeś przecie prosto do domu wracać?

— A tyś chciał odwidzieć leśniczówkę, która leży w zupełnie przeciwnym kierunku.

Młody hrabia zagryzł gniewnie usta. Czuł, że niepodobna, aby to spotkanie mogło ujść za całkiem przypadkowe. Zresztą i to namiętne rączek całowanie musiało być dostrzeżonem. Chciał jednak miną nadrobić.

— Znasz już pannę Rüstow, od owego w śniegu spotkania — wtrącił nawiasem — nie potrzebuję więc na nowo cię przedstawiać.

Oswald skłonił się zimno i sztywnie.

— Proszę mi darować najście tak nie w porę i proszę wierzyć, że było mimowolne. Nie mogłem nigdy się spodziewać, że tu mego kuzyna zastanę. A teraz pozwoli pani, że się natychmiast oddalę.

Jadwiga również się podniosła. Czuła o wiele głębiej od Edmunda, całą przykrość i niestosowność obecnej sytuacji. Twarzyczka jej płonęła szkarłatem, a wzroku od ziemi oderwać nie śmiała. Dopiero na przemówienie Oswalda, grzeczne, ale nie mniej lodowate, podniosła oczy i skrzyżowała je z jego wzrokiem. Musiała w tym wzroku ponurym, wyczytać coś bardzo dla siebie niekorzystnego, gdyż nagle jej piękne, szafirowe oczy gniewem zabłysły, głos zaś przed chwilą świeży i wesołym śmiechem dźwięczący, ochrypł i drżał wewnętrznem wzburzeniem, gdy zawołała rozkazująco:

— Panie Ettersberg!... Żądam, abyś pan został.

Oswald, który już był się ku drodze zwrócił, stanął jak wryty. Jadwiga porwała za rękę swego towarzysza:

— Edmundzie! — mówiła gorączkowo. — Nie pozwolisz przecie odejść w ten sposób twojemu kuzynowi, winieneś mu jakieś tłumaczenie... w tem samem miejscu! natychmiast! Czyż nie widzisz, że on... on jest w błędzie!...

Oswald o krok się cofnął, słysząc, to *ty*, tak już poufałe, lecz nie mniej zdumiał się sam Edmund, tym tonem energicznym, prawie rozkazującym, w jakim dotąd nigdy jeszcze do niego nie przemawiano.

— Ależ droga Jadziu — tłumaczył się onieśmielony. — Tyś pierwsza żądała milczenia odemnie. Inaczej byłbym pewno nie ukrywał naszej miłości przed Oswaldem. Masz słuszność, musimy mu powierzyć naszą tajemnicę, gdyż inaczej mój surowy mentor, gotów nam tu uciąć kazanie w trzech częściach. Niechże więc nastąpi prezentacja, według wszelkich formalności... Oswaldzie! moja narzeczona, a twoja przyszła kuzynka, którą polecam zarazem twojej braterskiej miłości i życzliwości.

Mimo, iż kochał szczerze tym razem i narzeczeństwo swoje brał całkiem na serjo, Edmund nie mógł się wstrzymać od tonu żartobliwego. Jadwiga, która zwykle mu wesoło wtórowała, obecnie czuła się tym tonem lekkim boleśnie dotkniętą. Stała milcząc obok narzeczonego i wpatrywała się w niemem oczekiwaniu w nowego kuzyna, który dotąd nie mógł się zdobyć na odpowiedź.

— I cóż? — spytał Edmund, zdziwiony i rozgniewany długiem milczeniem. — Czyż nam nawet nie raczysz powinszować?

— Najprzód muszę przeprosić — Oswald cicho przemówił, do narzeczonej się zwracając. — Na taką wiadomość, nie byłem przygotowany.

— Twoja własna wina! — zaśmiał się Edmund. — Dla czegoś przyjął tak szorstko, moje pierwsze zwierzenie, co do wizyty w Brunneck! Kwalifikowałeś się doskonale na powiernika. Ale nieprawdaż Jadziu? mamy prawdziwe nieszczęście z naszem *rendez-vous*. Pierwszy raz zeszliśmy się bez opiekuńczych skrzydeł cioci Liny i musiał nas ten Kato podpatrzeć, a na jego surowem obliczu, taka się zgroza odbiła, skoro zobaczył moje najniewinniejsze całusy, li na twoje różowe paluszki spadające, żeśmy musieli czem prędzej tę srogą cnotę uspokoić, meldując mu się najpokorniej, jako para narzeczonych. Spodziewam się, że teraz odwołasz twoją złośliwą uwagę, co do „najścia nie w porę“, no i będziesz nam życzył szczęścia... na co dotąd nadaremnie czekamy.

— Życzę ci wszystkiego najlepszego — szepnął Oswald ściskając w swoich dłoniach rękę brata — a i pani również — zwrócił się do Jadwigi.

— Jak to brzmi krótko a węzłowato! Czy i ty może chcesz zostać naszym przeciwnikiem? Tego nam tylko brakowało! Mamy dość ze siebie, przewidując opór obojga naszych rodziców. Burza z dwóch stron zbiera się nad naszemi głowami, ciebie więc przynajmniej musimy sobie zapewnić jako sprzymierzeńca.

— Wiesz dobrze, że ja na twoją matkę żadnego wpływu nie wywieram — odparł Oswald spokojnie — musisz w tym przypadku twojej własnej sile zaufać. Ale właśnie teraz nie powinienbyś niczem drażnić twojej matki, a będzie mocno na ciebie zagniewaną, jeżeli opuścisz dzisiejszą konferencją. Adwokat jest już na pewno w zamku, a ty ledwie za godzinę zajdziesz do Ettersberg. Pani daruje, muszę jednakże przypomnieć memu kuzynowi, obowiązek, który najwidoczniej, wyleciał mu zupełnie z pamięci.

— Masz w zamku konferencją? — spytała Jadwiga, przez cały ten czas zachowując się dziwnie biernie i milcząco.

— Tak, w sprawie tyczącej się Dornau — zaśmiał się Edmund wesoło. — Procesujemy się dotąd zawzięcie i nieubłaganie! Przy tobie mój aniele, zapomniałem ma się rozumieć, o całym świecie! Szczęście że Oswald mi przypomniał tę okoliczność. Dziś będę jeszcze musiał knuć mądre plany z matką i adwokatem, w jaki sposób majątek wydrzeć stronie przeciwnej. Nie spodziewają się, że myśmy już proces dawno ukończyli, w drodze nie koniecznie prawidłowej, lecz nie mniej praktycznej... wspólnie się zaręczając.

— A kiedyż o tem dowie się matka twoja? — spytał Oswald.

— Skoro będę wiedział, jak się na tę sprawę pan radca zapatruje. Wczoraj wrócił dopiero, i dla tego właśnie zeszliśmy się tutaj sam na sam, aby ostatecznie plan kampanji ułożyć. Raz musimy wydać naszą tajemnicę. Wprawdzie na tę wiadomość niesłychaną, Ettersberg i Brunneck zadrżą w podwalinach, szanowni nasi rodzice pobawią się jeszcze czas jakiś w Montechi'ch i Capuletti'ch, ale my oboje będziemy stać na straży i pilnować, aby ten dramat familijny skończył się nie tragiką, broń Boże! tylko wesołem i najszczęśliwszem małżeństwem.

W słowach Edmunda było tyle pewności, a w uśmiechu Jadzi, którym mu odpowiedziała, tyle tryumfu ze zwycięstwa, o którem na chwilę nie wątpiła, iż widocznem było, że oporu rodziców oboje nie biorą w rachubę i nim się bynajmniej nie troszczą. Czyż nie widzieli jak ich kochają i jak są dla nich słabi, tak ojciec dla córki, jak i matka dla syna?

— Co teraz, to już muszę wracać do domu — porwał się Edmund. — Ma słuszność Oswald. W tym czasie nie powinienem narażać się na mamy niełaskę, a ona wielce czekać nie lubi. Daruj Jadziu, że cię przez las nie przeprowadzam. Oswald to za mnie uczyni. Musisz go przy tej sposobności bliżej poznać, jako twojego tak bliskiego krewnego w niedalekiej przyszłości. Dotąd milczy zawzięcie. Powierzam ci bracie moją narzeczoną najsolenniej i oddaję ją twojej rycerskiej opiece. Żegnaj mi moja słodka, moja jedyna Jadwiniu.

Jeszcze raz przycisnął jej ręce do ust i do serca, skinął głową przyjaźnie Oswaldowi i znikł w zaroślach.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Na Wakacjach

NOWELLA.

(Ciąg dalszy.)

Chwilę stali tak w niemym zachwycie; wreszcie siostra z objęć mu się wyśliznęła i rzekła głosem drżącym od wzruszenia:

— Usiądź tu przy mnie, i słuchaj mojej relacji. Na początek dowiedz się, że ze stryjem nie ma co i mówić o twojem ożenieniu. Przyrzekłam mu nawet, że będę go w tem popierać. Zaklinam cię więc na wszystko, wyperswaduj sobie kochankę, a kontentuj się miłością siostry.

— Nie bluźń najdroższa! — zawołał Jan (o którym stryj myślał, że siedzi dotąd w Warszawie) — nie zadawaj kłamu własnym uczuciom! Wiesz dobrze, że siostrą mi nie jesteś i być już dziś nie możesz. Serca nasze płoną inną miłością, równie świętą, bo od Boga samego postanowioną. Musisz być moją, choćby mi przyszło z całem piekłem walkę stoczyć, nie tylko z jednym stryjem, aby cię zdobyć!

— O ty mój kochany Orfeuszu! — zaśmiała się wesoło. — A jaką siłą chciałbyś piekło zwyciężać? Czy na mocy twoich pandektów? Czy adwokackiemi wywodami? prędzej jabym cię z piekła wyprowadziła, jeżeli istotnie tak są tam muzykalni. Wszak mnie nie darmo Syreną nazywają.

— Tyś dla mnie Bóstwem dobroczynnem! Najdroższa! Ale cóż myślisz dalej w tem gnieździe robić?

— A cóż! Aby nie wychodzić z wprawy, kokietować i usidlać stryjaszka.

— Basiu!

— Ha! ha! ha! Czy mój srogi pan, nie myśli być o tego starca zazdrośnym? Przyznaj jednak, że będzie to konkieta nielada! Człowiek, który do lat zgrzybiałych opierał się dzielnie kobietom. Wyłom pierwszy zrobiony. Fajkę potrafiłam cudownie nałożyć, i wygrałam od razu partję szachów. Trzeba bić dalej żelazo, póki gorące i szturmować, aż podda się forteca.

— Jakież są twoje plany?

— Dobry strategik planów na przód nie układa. Przychodzą one mu niespodzianie na placu boju. To jedno ci powiem: Spij spokojnie, milcz jak ryba, a postaraj się, żeby twoje zaślubiny z Signorą Barberiną, były jak najprędzej ogłoszone, jako fakt, mający za kilka dni nastąpić, w dziennikach, które stryj twój abonuje i aby tam stało wyraźnie, że jesteś bratankiem, sławnego adwokata, Ramkiewicza.

— A to znowu na co?

— Nic nie pytaj, tylko słuchaj ślepo. Gdy raz łódka nasza zawinie szczęśliwie do portu, złożę berło u nóg mojego pana i męża. Przez resztę życia, twoja dłoń mnie powiedzie.

— Czarodziejko moja piękna! Ty mi zawsze będziesz przyświecać, jak gwiazda przewodnia! Nigdy

nie zapomnę, ile tobie będę winien, jeżeli... jeżeli... uda ci się istotnie.

— Ty mi dasz więcej, w każdym razie, bo szczęście, o jakiem zaledwie marzyć śmiałam. Ale teraz żegnaj najdroższy! Dzień niedługo zaświta. Patrz jak król nocy blednieje, jak jego towarzyszki, gwiazdy, zaledwie słabo już migocą! Przeczuwają, że muszą ustąpić, przed blaskiem słonecznym! Oh! ja kocham słońce! Księżyc smutny, jak lampa grobowa, słońce tylko wszystko opromienia, ożywia, ozłaca! I nasza miłość wkrótce w takim blasku słonecznym zajaśnieje! Spuść się na mnie najdroższy! Spuść się na twoją Czarodziejkę!

Jeszcze jeden uścisk serdeczny, gorący... drabinka w powietrzu zafalowała... cień znikł pomiędzy drzewami.

Chwilę jeszcze stała na balkonie w dół przechylona, pilnie nadsłuchując, wreszcie kroki umilkły, a zdala głuchy tentent konia dał się słyszeć. Gdy wszystko ucichło, odwiązała drabinkę, wsunęła ją nazad na spód kuferka, okno zamknęła, w pociemku się rozebrała, a usypiając słodko, wymawiała jeszcze po cichu imię najdroższego, i układała w sprytnej główce dalszy plan rozpoczętej kampanji.

* *
*

Najzręczniejszy dyplomata, mógł zazdrościć Basi bystrego *coup doeil,* którym wysondowała przeciwnika, i podziwiać wytrwałość i roztropność, z jaką posuwała się krok za krokiem w łaskach u staruszka, zawsze udając skromną, potulną dziewczynkę, która trzech zliczyć nie potrafi.

Do tygodnia opanowała nie tylko starego dziwaka, który obejść się już teraz bez niej nie mógł, podbiła również całą służbę, nawet gderliwego kucharza Macieja. Wszyscy gotowi byli przysiądz, że niema pod słońcem drugiej takiej doskonałości, jak panna Basia.

Jeżeli wywołała podziw poprzedniemi talentami, cóż dopiero mówić o jej deklamacji w czytaniu! Jan czytał zwyczajnie, jak student lekcję recytujący, ona umiała cieniować i zastosowywać ton do każdej rubryki osobno, a jej uwagi trafne i dowcipne, wlewały życie nawet w sprawozdania najbardziej oschłe.

Staruszek nie posiadał się z radości. Chociaż skąpy był nader w pochwałach, nie mógł wytrzymać, i w oczy jej powiedział: „że tak wielkiego używania w życiu mu nikt nie sprawił.“ Ze skromną jak zwykle minką, spuściła w dół oczy, i wyszeptała nieśmiało.

— Cieszy mnię to niezmiernie, iż mogę czemś przynajmniej odwdzięczyć się kochanemu stryjaszkowi za tyle łaski!

Gdy raz siedzieli przy kawie rano, wniósł Bartek gazety, listy, i jakiś spory pakiet starannie opieczętowany, ze stampilą zagraniczną.

Pan Kasper obejrzał list na wszystkie boki.

— Pal ich sześć! — krzyknął zaperzony. — List z Brukseli, pewnie w interesie mojego czcigodnego klienta księcia D. (adwokat cieszył się klientami z najpierwszych rodzin magnackich.) — Znowu błazny piszą sobie, jakby nigdy nic! po francuzku! Niby ja jestem obowiązany umieć to ich głupie *parle franse.* W grece, łacinie, Mospaneńku, toć i dziś nie dam się młokosom zawstydzić, no szczekać po niemiecku, także człowiek rad nie rad musiał się nauczyć, ale *parle franse* ani w ząb! Jan umiał, szukaj atoli wiatra... po Warszawie, przy jego pani Tra, la, la, a dependent, pal go sześć, któregom na jego miejsce zamówił, zachorował w drodze i dotąd go niema. Ci dwaj młokosy, co siedzą w mojej kancelarji, także o tem nie mają Mospaneńku wyobrażenia...

— Umiem dobrze po francuzku — wtrąciła Basia nieśmiało — może stryjaszek pozwoli sobie i w tem usłużyć?...

— O! ho, ho! Asińdzka bo chcesz udawać, jakbyś wszystkie rozumy Mospaneńku pojadła! Wasza babska paplanina, a styl urzędowy, to znowu co innego.

— Spróbójmy drogi wujaszku — zaświegotała mu nad uchem, swoim najsłodszym tonikiem, i ze ślicznym uśmieszkiem, podała list i nożyczki do rozcięcia koperty.

Stary ruszył gniewnie ramionami, ale nie mniej posłuszny jak baranek, rozciął kopertę, wyjął z niej papiery i podał Basi.

Przejrzała uważnie, jeden po drugim; potem najlepszą polszczyzną, ani razu się nie zająknąwszy, powtórzyła treść dokumentów stryjowi.

— Już wiem, już wiem! — poskrobał się stary po siwej czuprynie. — W mojej kancelarji Mospaneńku leżą papiery w porządku, tyczące się tego interesu, oryginałów nie mogę im przecie posyłać, a kopji...

— Mam pismo bardzo czytelne, prowadziłam zawsze ojcu mojemu, jego liczną z zagranicą korespondencją — wpadła Basia prędko w słowo staruszkowi. — W momencie kopje przepiszę...

— Sodoma i Gomora! — stary oburącz chwycił się za głowę — tego tylko Mospaneńku brakuje, żeby białogłowa zasiadła w mojej kancelarji! A przecież dokumentów nie mogę ztamtąd ruszyć! Gyby tam kto asińdzkę zobaczył, zbłaźnił bym się na resztę żywota.

Przelotny uśmiech zaigrał na ślicznych Basi usteczkach.

— Tak bym jednak chciała usłużyć drogiemu stryjaszkowi! Jeżeli spóźni się odpowiedź, gotowi ci przemądrzy Francuzi — wydęła usta pogardliwie — posądzić nas o niedbalstwo w ważnych interesach. I tak zawsze nas Polaków obmawiają!

Pan Kasper drgnął całym korpusem. Trafiła w jego najsłabszą stronę. Szczycił się przecie największą punktualnością, w załatwianiu spraw swoich klientów, mieliżby go pomawiać o zaniedbywanie i opieszałość, w interesach tak wielkiej wagi!

— Ha! pal mnie sześć! Cóż robić! — rzekł po chwili namysłu — tonący, brzytwy się chwyta. Mam ja Mospaneńku obok kancelarji kącik dla siebie,

z osobnym wychodem, żeby młodziki nie widzieli, gdy czasem wypadnie mi pójść do miasta, i w robocie się nie zaniedbywali. Pojedziesz dziś ze mną asińdzka, Mospaneńku, wprowadzę cię tam chyłkiem, milczkiem, i będziesz pisała. Tylko się nie zdradź na miły Bóg! Stary mój Jakób nic nie wypaple. Ten jeno z swojemi końmi umie rozmawiać.

I stała się rzecz niesłychana. W *sanctuarium* pana Kaspra, przy jego własnem biurku, siedziała w godzinę później Basia, pięknie, wyraźnie przepisując francuzkie dokumenta. Do obiadu była ze wszystkiem gotowa. Zdumiał się pan Kasper, patrząc na charakter pisma wyrobiony, jakby męzki.

— Może to nie po katolicku Mospaneńku, co teraz powiem. Wszak każą nam wierzyć, że nawet papież jest *infallibel.* Ja jednak śmiem utrzymywać, pal mnię sześć, że sam Pan Bóg pomylił się robiąc z ciebie dziewczynę!

— Nieraz i ja to myślę — westchnęła ciężko Basia. — Teraz naprzykład, gdybym tak chłopcem była, mogła bym uczyć się prawa, praktykować u stryjaszka dobrodzieja, zasłużyć sobie na jego względy, na jego miłość, i z czasem... z czasem... zostać jego synem przybranym. Wtedy otoczyłabym stryjaszka staraniami, myśli bym mu z czoła odgadywała i pewno bym na krok od niego się nie ruszyła

— Dobre, poczciwe dziecko Mospaneńku — mruknął stary, nieznacznie łzę ocierając, która ni ztąd ni z owąd, zwilżyła od dawna zaschnięte powieki.

Odtąd, tak samo jak w domu, nie mógł się pan Kasper obejść i w kancelarji bez pomocnej ręki Basi. Dependent zamówiony nie przybywał, a roboty był zawsze huk, tak iż nie wiedział gdzie głowę podzieć, i za co pierwej chwytać. Tym sposobem spełniły się najgorętsze jej życzenia. Stała się w krótkim czasie niezbędną staruszkowi.

I znowu dnia jednego siedzieli oboje przy kawie, gdy Bartek wniósł jak zwykle o tej godzinie, listy i gazety. Basia rozpieczętowała dziennik, aby go zacząć czytać... w tem krzyknęła przeraźliwie, wybuchła głuchem łkaniem, i oczy chusteczką zasłoniła.

— Co ci to dziecko? Co się stało? — spytał starzec przestraszony.

— Oh! oh! stryjaszku!.. nie śmiem... nie mogę!... — i na nowo w płacz uderzyła.

— Ależ nie dziecinniej że asińdzka! — tupnął stary energicznie. — Wiesz jak podobnych scen nie nawidzę! Choćby tam Mospaneńku cały djabeł siedział w dzienniku, ja go się przecie nie ulęknę i tem bardziej dowiedzieć się muszę.

Z rąk szlochającej dziennik wyciągnął, a założywszy na nos okulary, zaczął szukać miejsca niebezpiecznego. I oto co znalazł:

„Donoszą nam z Warszawy“

„Cudowny słowiczek, który z wiosną z cieplejszych krajów do nas zawitał, ubóstwiona przez wszystkich prima-donna Barberina, opuściła po skończonym sezonie miasto nasze, aby na świeżem wiejskiem powietrzu odzyskać siły, za nadto wielką pracą nadwerężone. Dowiadujemy się niestety, ze źródła wiarygodnego, że prawdopodobnie utracimy na zawsze tę artystkę znakomitą, gdyż zamyśla uszczęśliwić swoją ręką, pana Jana Ramkiewicza, bratanka, znanego i powszechnie szanowanego adwokata, pana Kaspra Ramkiewicza w Krakowie.“

— Pal go sześć! — zerwał się stary jak oparzony. Fajkę wraz z cybuchem, rzucił w kąt jeden, czapeczkę aksamitną z głowy cisnął w kąt drugi, i zaczął biegać po pokoju, jakby mu połowę lat z wielkiej irytacji ubyło.

— A prosiłam... zaklinałam... w każdym liście... niemal codzień! — mówiła Basia głosem urywanym, chusteczki od ócz nie odejmując. — Perswadowałam, żeby nie stawiał na kartę całej swojej przyszłości, żeby nie narażał się na gniew stryjaszka dobrodzieja, który mimo całej swojej dobroci i szlachetności, gotów... gotów... niewdzięcznika... nawet.... wydziedziczyć.

— I uczynię to! uczynię! jak pragnę Boga przy skonaniu! Pal go sześć! jeszcze błazen jakiś! chwali się, że jest moim bratankiem! anonsując światu, ożenienie z komedjantką! Tego już zanadto! Jakób! Zaprzęgać! — krzyknął gromkim głosem na dziedziniec. — Nauczę ja go gwizdać po kościele! Niedba o mój majątek! nie szanuje moich siwych włosów, obejdę się i ja bez niego Mospaneńku. Aby tylko on się tak bezemnie obejść potrafił.

Basia z pod rąbka cieniutkiej chusteczki, śledziła bacznie starca poruszenia, tryumfując w duchu, że tuż tuż! zbliża się do celu zamierzonego.

— Gdzież znowu ten gamoń Bartek? — krzyknął stary, targając co siły za taśmę od dzwonka.

— Pojechał na pocztę z recepisami — odrzekła cichutko Basia, oczka trąc niemiłosiernie chusteczką. — Co stryjaszek rozkaże?

— Mój płaszcz, kapelusz, rękawiczki! Wyjeżdżam natychmiast! Mospaneńku!

— Czy mam i ja się dziś zbierać?

— Nie potrzeba! Nie potrzeba! Jadę do notarjusza, a potem prosto do domu. Pal djabli! dzisiaj całą kancelarję!

Staruszek mrucząc ciągle pod nosem, i na bratanka wyrzekając, nie pożegnawszy się nawet jak zwykle z Basią, wyleciał jak z procy, wskoczył z impetem do powozu, i kazał się wieźć czemprędzej do miasta.

W kilka godzin wrócił uspokojony, uśmiechnięty, Basię, która naprzeciw wybiegła, czule uścisnął i w czoło pocałował, a gdy po obiedzie chciała mu przysunąć stolik z szachami:

— Wprzód asińdzka, moje dziecko, ten dokument sobie Mospaneńku odczytaj i powiedz czy przystajesz na warunki w tymże zawarte?

Był to najformalniej sporządzony testament. Basię uznawał pan Kasper jako jeneralną spadkobierczynię majątku swojego, ruchomego i nie ruchomego, kładąc

za jedyny warunek, żeby wraz z swoją drugą matką, a jego najukochańszą bratową, nie opuszczały domu jego póki żyje, a po śmierci, żeby ręka Basi powieki mu przymknęła.

Tym razem rozpłakała się na prawdę rzewnemi łzami. Klęcząc u nóg starca z uniesieniem całowała jego ręce i kolana, nie mogąc słów znaleść na podziękowanie.

— No, no, daj pokój asińdzka, moja córeczko przybrana, boć i ja się gotów rozbeczeć, Mospaneńku, a to przecież w moim wieku nieuchodzi. Jedź że dziecko po moją bratowę, i proś ją odemnie, aby wszystko puściła w niepamięć, i mój dom, za swój własny uważała. Jutro zaraz wyprawię cię w drogę. A teraz, nim zagramy w szachy, przejdź się po swieżem powietrzu, Mospaneńku i uspokój trochę moja poczciwa, moja droga Basieczko.

Nigdy jeszcze starzec tak czule, tak słodko do niej nie przemawiał. Pękły lody, i w piersi zaschniętej tyloletnią samotnością, oderwaniem od świata, od ludzi, pod ciepłą dłonią pięknego dziewczęcia, zaczynało budzić się uczucie szlachetne, chęć dopomożenia wdowie i sierocie.

Basia potrzebowała istotnie zaczerpnąć w pierś ścieśnioną świeżego powietrza, potrzebowała pogodzić się z własnem sumieniem.

Podstępem niejako, zdobyła sobie to serce, które ją dzisiaj z ojcowską niemal czułością do siebie przytuliło. Czy godziło się w tem sposób oszukiwać poczciwego staruszka? Czy cel, który miała przed sobą, jest wymówką dostateczną?

Upadła na ławeczkę pod lipą rozłożystą, główkę wsparła na dłoni, a myśl jej pogoniła w dal, do matki przybranej, do jedynie ukochanego. Wszak dla nich to wszystko czyniła.

(Dokończenie nastąpi.)

DZIENNICZEK ZE ŚWIATA.

SZCZYT REKLAMY.

Książe indyjski Nena Sahib XXII darował do zoologicznego ogrodu w Berlinie 17 tygrysów królewskich. Najbardziej zajmującą jest rzeczą, jak te tygrysy schwytane zostały. Nena Sahib kazał pewną okolicę posypać liśćmi palmowemi, a liście te zostały posmarowane karukiem rybim, nadzwyczaj chwytnym i silnym. Tygrysy wieczorem przyszły w tę okolicę, nieostrożnie wstąpiły na liście, które natychmiast do nóg im się przylepiły — tygrysy usiłowały pozbyć się nieprzyjemnego obuwia, ale usiłowanie to doprowadziło do tego, że jeszcze bardziej osmarowały się klejem, wpadły w szał, zaczęły się tarzać po ziemi, coraz więcej liści przyczepiało się do ciała, wreszcie zalepiły im się oczy, tak że mimo kłów i pazurów stały się zupełnie bezbronne i można je było kijem zapędzić do stajni. Tych siedemnaście osmarowanych tygrysów zawieziono do Hamburga, a ztamtąd popędzono pieszo do Berlina i to w ten sposób, że ogon poprzednika był przywiązany do przedniej łapy następnego, a wszystkie tworzyły jeden długi szereg. Łatwo pojąć, jak ów klej rybi musi być silnym, skoro można było za pomocą jego złowić tyle tygrysów. Również jasną jest rzeczą, że działanie tego kleju nie ogranicza się na same tygrysy, lecz że go z równym skutkiem używać można do kitowania porcelany, szkła, skóry, drzewa, papieru, masy drzewnej, podeszew, lamp, talerzów porcelanowych, waz marmurowych, figur gipsowych, skórek do kijów bilardowych, cygarniczek, fajek piankowych — słowem wszystkich przedmiotów. Cudownego tego kleju nabyć można u Adolfa Lemmego, Potsdamerstrasse 98. — Tak brzmi ogłoszenie pełnego inwencji przemysłowca, którego nazwisko podaliśmy. Zdaje się, że na lep ten oprócz tygrysów da się złowić także nie jeden kupujący.

SAMOSKEÖY.

Osławiony Samoskeöy, o którego sprawkach w swoim czasie przepełnione były szpalty wszystkich dzienników, przybył w tych dniach do Wiednia. Jak wiadomo trybunał peszteński uwolnił go od zarzutu licznych zbrodni, na podstawie braku dowodów i wydał mu wszystkie ordery, które zostały uznane za ważne. Przybywszy do Wiednia miał Samoskeöy zająć mieszkanie w pierwszym wiedeńskim hotelu „Hotel Imperjal“ i tam miał długą naradę ze swoim doradcą prawnym, dr. Bergmenem, następnie zaś pociągiem pospiesznym odjechał do Anglji, na inspekcję dóbr swoich w Soutport. Samoskeöy zamyśla obecnie poświęcić się karjerze politycznej, a Węgry mają być areną jego działalności. Miał on zawrzeć stosunki z opozycyjnym dziennikiem *Egyetertes* i zamyśla w jesieni w Wielkim wystąpić Warażdynie, jako kontrkandydat Tiszy. W pewnym siedmiogrodzkim okręgu wyborczym, uważają go także jako kandydata opozycji. Szanse jego stoją wcale dobrze, jest on bowiem sam najlepszym ajentem przy wyborach, jakiego można sobie wyobrazić i rozporządza znacznemi środkami pieniężnemi; przytem imię jego, z powodu wdania się wiedeńskiej policji, nabrało w Węgrzech pewnej aureoli, która mu będzie bardzo pomocną. Samoskeöy ma zamiar nabyć dobra w Węgrzech, a jego podróż do Anglji ma na celu zlikwidować potrzebne fundusze.

POCZTA PRZEZ POCAŁUNEK.

Donoszą z Berlina, że jeden z bardzo obciążonych zbrodniarzy wyprosił sobie pozwolenie widzenia się z żoną swą w biurze sędziego śledczego. Więzień, ujrzawszy swą żonę, rzucił się w jej objęcia i począł ją z całą serdecznością całować, co trochę za długo trwało. Sędzia, wpatrzony bacznie w ten akt małżeńskiej czułości, dostrzegł, że z ust więźnia wsunął się przy pocałowaniu zwinięty papier do ust jego żony. Przystąpił więc do niej i zażądał, aby mu papier oddała. Przestraszona kobieta spełniła żądanie i pokazało się, że na karteczce ważne znajdowały się wskazówki. Zanim jednak zdołał je sędzia odczytać, przyskoczył więzień, wyrwał mu papier i podarł go w kawałki, tak, że mała tylko cząstka pozostała w ręku sędziego. Więzień odprowadzony został natychmiast przez wezwanego dozorcę do kaźni, gdzie będzie musiał odpokutować śmiały swój podstęp, szkodliwy o tyle dla jego kolegów, że odtąd wzbronionem będzie każdemu więźniowi przystęp do odwiedzających go najbliższych krewnych.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: W. Maniecki.